

K W E S T I A S M A K U

Jak się okazuje, wiele osób sądzi, że w naszej redakcji jest ogromny sufit. Zamieszczane informacje, pojawiające się sądy czy opinie z owego obszernego sufitu obficie płyną wprost na łamy naszego miesięcznika, bez żadnego wysiłku ludzi, którzy się potem tylko podpisują. Bo skąd tyle błędów i przeinaczeń, które trzeba później prostować? Każdy, kto dziś uważnie przeczyta choćby polemikę prof. Piotra Garbaczewskiego z latwością dostrzeże, że w stosunkowo krótkim okresie czasu na naszych łamach pojawiło się masę błędów, które z rzetelną informacją nie mają nic wspólnego. A to tylko jeden instytut... Od dłuższego czasu pilnuje, by materiał informacyjny był sygnowany nazwiskiem kompetentnego informatora. Informacji o liczbie studentów na kierunku nie szukam w klubach studenckich. O liczbie zatrudnionych w wydziałach czy instytutach nauczycieli akademickich, ich awansach nie pytam w służbie zdrowia, o pomocy materialnej nie zasięgam informacji u zaprzyjaźnionego fryzjera, choć trzeba przyznać, że „dużo wie”. I teraz już poważniej – sam machnąłbym ręką, gdyby błąd liczbowy mieścił się w granicach 10 proc. Przygotowując informator dla kandydatów na studia weryfikowaliśmy informacje i z działów kształcenia (wtedy jeszcze trzech szkół), i bezpośrednio z wydziałów. Co do jednego mieliśmy pewność – jeden informator jest rzetelny, drugi kłamie. Ale który sprzedaje wiarygodną informację, nie sposób było ustalić, bo obaj ręczyli za rzetelność własnoręcznymi podpisami. Dopiero po czasie okazało się, że jedni sprzedawali prawdę, a drudzy – jak w przypadku nowo uruchamianych kierunków – tylko oczekiwania, żeby użyć zgrabnego eufemizmu (np. kierunek *stosunki międzynarodowe* nie pojawił się dotąd na uniwersytecie).

Smutna to prawda, ale jakość organizacji spada, tak jak spada odpowiedzialność za autorstwo przedsięwzięć czy własny podpis. I – jak się wydaje – wielkość uniwersytetu, który połączył dwie uczelnie, jest tu bez znaczenia. Bo z organizacją dają sobie jednak radę o wiele większe uczelnie. Rzecz dotyczy raczej kompetencji, jak w przypadku pani adiunkt z zarządzania (tak się telefonicznie przedstawiła), która prosiła o przesłanie pocztą elektroniczną informacji podając adres głównej strony internetowej, i za nic nie dała sobie wytłumaczyć, że to raczej niemożliwe, kiedy się nie ma konta pocztowego. Nie mnie rozstrzygać o przymiotach kompetencyjnych, choćby z braku pełnej informacji o motywach i uwarunkowaniach konkretnych przedsięwzięć. Wiem tylko, że zjawisko przybiera postać uciążliwej dolegliwości, tak ze strony administracji zawodowej, jak i akademickiej.

Podobno dżentelmeni nie dyskutują o faktach. Inaczej sprawa ma się z publikowanymi sądami i opiniami, które siłą rzeczy noszą piętno subiektywizmu. Ale i tu wymyślono już dawno instytucję polemiki, do której już w redakcyjnej stopce zachęca nasze pismo. Często doznają jednak presji, nazwijmy ją, służbowej, jako metody daleko łatwiejszej i w założeniu skuteczniejszej. I żeby nie było nedomówień – nie pochodzą one od rektora. Działa tu nie siła argumentacji, lecz instytucjonalna moc wyższego usytuowania w hierarchii uniwersyteckiej, często poparta stopniem lub tytułem naukowym. Otóż nigdy nie twierdziłem, że godności akademickie nie są legitymacją głębokiej wiedzy. Tyle tylko, że nie jest to dziś wiedza uniwersalna, obejmująca każdą dziedzinę życia, tym bardziej nauki. Przeciwnie, coraz bardziej wąska i specjalistyczna. Ośmieszyl się ostatnio prof. Tomasz Nałęcz, skądinąd ceniony historyk, teraz – w roli szefa sejmowej komisji śledczej w tzw. sprawie Rywina – twierdząc, że procedury karnej nauczy się w kilka dni, choć powinien wiedzieć, że to rozległa i wcale niełatwa prawnicza dyscyplina akademicka. Ciągoty do omnipotencji intelektualnej byłyby nawet sympatyczne, gdyby kończyły się

na dobrym samopoczuciu, a nie służyły do rozstrzygnięcia racji.

A teraz problem, który mnie męczy od dłuższego już czasu. Długo się zastanawiałem, czy można wdawać się w polemikę z osobą w hierarchii akademickiej – zaraz po Bogu (choć w trzech osobach), do tego wybraną w demokratycznych wyborach. Ale skoro mocno krytycznie można nawet o pierwszych osobach w państwie – prezydencie, premierze, marszałku... I nie o krytykę tu chodzi, a zaledwie polemikę. Otóż prof. Józef Korbicz, prorektor ds. nauki, zarzuca mi spychanie problematyki nauki i współpracy z zagranicą na poślednie miejsce w naszym miesięczniku. Zarzuty, poza moimi plecami, pojawiają się podczas obrad Kolegium Rektorskiego, Senatu, na mniej lub bardziej oficjalnych spotkaniach, w bezpośrednich skargach do rektora, a ostatnio – w piśmie (wraz z instrukcją redakcyjną) skierowanym do Magnificencji, tym razem tak zakończonym: „Mam nadzieję, że informacje dotyczące nauki i współpracy z zagranicą będą w odpowiedni sposób przedstawione w tym wydaniu miesięcznika”. Dawniej nazywało się to cenzurą prewencyjną. Mój adwersarz twierdzi, że informacje z pionu, którym kieruje, są ważniejsze od materiałów z wydziałów, bo wynika to wprost z hierarchii organizacyjnej, zatem powinny być zamieszczane na pierwszych stronach, a już na pewno przed wiadomościami wydziałowymi. Owszem, zdarzają się takie informacje, o randze ogólnouniwersyteckiej, ale są one prezentowane zazwyczaj oddzielnie, w czółówce pisma, jak dziś relacja z uroczystości nadania tytułu doktora *honoris causa*. Inne mają charakter komunikatów, sprawozdań finansowych z działalności badawczej lub dotyczą innej sfery administrowania nauką. Kiedy instytut kierowany przez prof. J. Korbicza obchodził 10-lecie, od redakcji zażądano 10 stron na własną prezentację dorobku instytutu. Kiedy taki jubileusz obchodził inny instytut – wystarczyła stronica. Były też pretensje o ilustrowanie tekstu małą liczbą zdjęć, a jeśli już były, to niewłaściwe itd., itd.

Panie Profesorze, uważam, że niemal wszystko, co w uniwersytecie naprawdę ważne, koncentruje się wokół działalności wydziałów, instytutów, katedr, zakładów. I tam są relacje z ważnych konferencji i sympozjów naukowych, współpracy z zagranicą, wreszcie o rozwoju kadry naukowej. Redakcja wspiera te działania prezentując w rozmowach sylwetki liderów naukowych, którzy osiągnęli szczyty godności akademickich, informuje o ich awansach naukowych, nagrodach i wyróżnieniach. To nie jest problematyka nauki? I to na czółowych stronach, bo te sprawy są naprawdę ważne dla rozwoju naszej uczelni, dla jej przyszłości! I żeby nie było wątpliwości – nie twierdzą, że kieruję piśmie na właściwym poziomie. Wiele mu brakuje. Ubolewam zwłaszcza nad brakiem dyskusji o najważniejszych sprawach naszego środowiska, rzeczonej polemiki – jednym słowem – dyskursu akademickiego. Granica swobodnej wypowiedzi kadry akademickiej kończy się na problematyce uprawianej dyscypliny. A Pan dobrze wie, że pismo powstaje wyłącznie siłami społecznymi, każdy z członków redakcji ma inne zawodowe zadania. I dotąd uczelnia nie wydała ani złotówki na redakcję miesięcznika. A przydałyby się pieniądze, by móc – jak inne czasopisma – zamówić choćby ciekawą publicystykę czy artykuł na aktualny temat.

Szanuję aktywność prof. J. Korbicza w środowisku, a już niekoniecznie sposób, w jaki się ona objawia. Redagowanie pisma nie polega na uległości wobec zwierzchników. Co jest dobre w koszarach, nie musi okazać się takie w uniwersytecie.

Siła argumentów czy argument siły? Odpowiedź zawsze będzie kwestią smaku.

Andrzej Politowicz